

Aleksander Wat

Po śmierci

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 6 (120), 235-250

2009

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Aleksander WAT

Po śmierci¹

Kiedy wreszcie pielęgniarka przestała pompować tlen, dyżurny lekarz skostatował „zapaść”, Aleksander poczuł się nagle wolny od wszelkiego bólu i zobaczył siebie w białym kitlu podpiętym pod samą szyję w parku pełnym drzew, kwietników, białych pawilonów – wyglądało to na sanatorium uzdrowiskowe. Poczłł niezmierną ulgę, ponieważ bóle nękaające go od wielu miesięcy znikły bez śladu, a szczególnie w dodatku i ulgę – po miesiącach wdychania jodoformu i zapachu chorób – i przyjemność sprawiało mu czyste lekkie rześkie aromatyczne powietrze, ani chłodne, ani za ciepłe – wciągał je w płuca z lubością i różnym krokiem szedł alejami, nie zastanawiając się nad drogą. Godzina była

¹ Opowiadanie Aleksandra Wata zatytułowane *Po śmierci* odnalazłem w Yale University's Beinecke Rare Book and Manuscript Library, w pudle oznaczonym jako „Box 5” w teczce 41. Tekst został przepisany na maszynie przez Olę Watową najprawdopodobniej w listopadzie 1986 roku; do tekstu dołączona jest odręczna notatka piśmem Watowej: „Niedokończone opowiadanie *Po śmierci* przepisane z zeszytu II”. Według sugestii Jana Zielińskiego opowiadanie to mogło powstać w czasie pobytu Aleksandra Wata w Sopocie, gdzie pisarz miał wymyślić scenariusz filmu o niemieckim filozofie zamkniętym w hotelu, który jest zarazem obozem koncentracyjnym i zaświatem. Według badacza może to być zapis drugiego z trzech „przeżyć parapsychicznych” (sam poeta je tak określał), którego doświadczył w Sopocie latem 1954 roku. Opowiadanie publikujemy za zgodą Andrzeja Wata. Zostawiamy składnię oryginału, która niestety czasami nie jest prawidłowa, ale na tym etapie edycji obawialiśmy się nadmiernej interwencji w tekst, wymagającej dodatkowych badań. Mamy tu do czynienia z pierwszym, nieobrobionym szkicem opowiadania. Jednak możliwość wniknięcia w nowy, nieznanym wymiar wyobraźni Wata wydał się nam najważniejszy.

ranna, kiedy umarł, w kościółku szpitalnym dzwoniło akurat na jutrznię i w parku migały z daleka nieliczne sylwety ludzi w bieli. Ale oto nadchodziły trzy młode, bardzo ponętne, roześmiane kobiety. Ponieważ ulga raptowna wprawiła go w stan filuternego rozbawienia i ponieważ zapach strumienia powietrza, którymi skąpał swoje płuca, wróciły mu upodobanie wygasłe w chorobie do uciech życia, a więc przede wszystkim – jak to stwierdził natychmiast, ujrzawszy owe trzy gracje, przeto nucąc po cichu Offenbachowskie *W lasku idą trzy boginie*², starał się zaczepić spojrzeniem jedną z nich, która najbardziej podpadła pod jego gusta, rudawą szatynkę, drobniejszą i pełniejszą od swoich towarzyszek. Nabył w tym zaczepianiu za życia niemalą wprawę i doskonałość, nazywał to [„epoimainen”], zapożyczając termin ze słownictwa dawnych morskich bogów. Ale nie ulegało wątpliwości, że trzy owe panny czy panie, chociaż patrzą na niego, ale wcale nie widzą, jest dla nich przezroczysty jak szkło. „Jestem zatem umarłym nawet w tym państwie umarłych” – szepnęła do siebie z gorczycą i cały dobry, ba, szampański humor ulotnił się, natomiast w mózgu jego – serce jeszcze miał na szczęście zamknięte, wysuszone rokiem nieustannych fizycznych bólów – w mózgu zatem Aleksandra zagnieździła się trwoga. Wszystkie straszne wyobrażenia o życiu pośmiertnym, o winie i karach, o piekle i nieskończoności chlusnęły falą do głowy i wprawiły ją w stan kompletnej paniki. Rozejrzał się za jakąś ławką, by usiąść i ochłonać, ale wtedy spostrzegł, że stoi przed małymi drzwiami wylakierowanymi na biało piętrowego pawilonu. Na drzwiach wisiała wizytówka, dosyć dziwna, bo składająca się z serii liter, francuskich i jednej greckiej i dość długiego równania całkowitego z czterema czy pięcioma niewiadomymi. Chciał już cofnąć się, ale wtedy drzwiczki się otworzyły, na progu stanął sympatyczny drobny pan o japońskiej uśmiechniętej fizjonomii i szerokim gestem zaprosił go do wejścia.

– U nas wszystko jest zautomatyzowane. Nasze telewizory momentalnie dały znać o pańskim zgonie i natychmiast został pan – automatycznie – skierowany do właściwej dzielnicy i tu siłą magnetyczną, której pan nie czuł, skierowany do mnie. Obywamy się w ten sposób bez woźnych, odźwiernych, bez sztabu niższego personelu, który w przeciwnym razie musiałby być bardzo rozbudowany, wie pan bowiem zapewne, że co sekunda umiera [wielu] ludzi. Niech pan pomyśli, jak sobie poradzić z takimi masami bez automatyzacji. A miasto nasze, raczej kraj – bo pod względem powierzchni byłby to wedle ziemskich pojęć rozległy kraj – miasto nasze zamieszkałe jest przez 80 roczników zmarłych. To znaczy, widzę, że mnie pan niezupełnie rozumie – znajdują się tu wszyscy, którzy umarli

² Zob. A. Wat *Mój wiek*, t. 2, Londyn 1981, s. 209: „Otóż matka moja była wielką melomanką i ubóstwiała szczególnie operetki Offenbacha. I gdy tylko miała temperaturę 37,5 stopni (to był koszmar mojego dzieciństwa), czasem 38 albo 39, wypieki na twarzy, zdawało się, że ciężka choroba, zaczynała śpiewać: «Ja, ja piękna Helena». Miała miły głos. «W lasku idą trzy boginie...». Wyobraź sobie, że w tym Saratowie, 40 stopni, zaczynam śpiewać. Śpiewam i śpiewam. I śpiewam: «W lasku idą trzy boginie...». Zupełnie nie pamiętając o matce. Dziedziczność”.

między latami 1873 a 1953. Za parę miesięcy, a więc pierwszego stycznia 1954, licząc po ziemsku, wszyscy nieboszczykowie z rocznika 1873 znikną z naszego miasta. Dokąd? Nie wiem. Należę do młodszej kategorii. Umarłem w wypadku kolejowym w 1899 roku, a pełnię tu funkcję dopiero od 19 czy 9 lat. Zresztą nikt nie wie, co się dzieje z tymi, którzy stąd znikają. Niektórzy co prawda domyślają się, ale to są tylko domysły.

Aleksander, który dużo miał do czynienia w życiu z urzędami policji, stwierdził, że nigdzie tak drobiazgowo nie spisywano personaliów. W pewnej chwili znieczcierpliwiły go pytania urzędnika i rzekł:

– Przecież tutaj wszystko o mnie wiadomo. Przecież wiadomo tu o mnie więcej nawet niż ja sam wiem. Po cóż ta ankieta i pytania?

– Nie wiem – odrzekł funkcjonariusz – kazano mi zadawać takie pytania i wypełniać skrupulatnie ankiety. Sam mam pewne wątpliwości co do potrzeby i celowości. Może to wszystko zostało wprowadzone właśnie po to, aby mnie i mnie podobnym – jest nas bowiem wielu. Na tym polega cała sztuczka: inny gabaryt (za życia byłem architektem), inny gabaryt czasów: lepianki i wieża BALA. Przeniesienie do innego systemu rachuby. To wszystko i czas się nie dłużył. Bo chociaż 80 lat to fizycznie i realnie tutaj bardzo niewiele, mniej niż ułamek sekundy ziemskiej, ale my jeszcze jesteśmy tu ładowani nałogami ziemskiej egzystencji i dlatego czas ten – 80 lat – psychicznie ogromnie się dłuży.

Po wypełnieniu wszystkich kwestionariuszy i ankiet, które wypełniły dwie grube teczki, Aleksander zapytał urzędnika, co ma robić ze sobą, gdzie zamieszka, gdzie się będzie stołował.

– O stołowaniu nie ma mowy. Jak panu mówiłem, 90 lat, które pan tu musi spędzić, aby maksymalnie mogły być zebrane i spisane wszelkie dane dotyczące pana i przebiegu pańskiej ziemskiej egzystencji, to zaledwie ułamek doby czasu. W ciągu więc tego okresu obywamy się bez jedzenia i przyznać muszę, że bardzo prędko przyzwyczajamy się do tego i znosimy to doskonale jak należałoby się logicznie spodziewać. Znałem co prawda paru tutejszych starców, którzy skarżyli się na głód, ale może byli już wygłodzeni, umierając, albo blagowali, bo tu – muszę pana ostrzec, ludzie nabierają pochopu do błagi. To samo dotyczy mieszkania. Klimat jest, jak pan widzi łagodny, przez cały czas, odkąd pamiętam, idealnie równy, zdrowy, co ma też zaletę, że tutaj nie choruje się na żadne choroby. Tutaj też nikt się nie starzeje. Bo ten czas się nie liczy prawie. Na tym polega cała sztuczka: inny gabaryt. Lepianki i wieża Bala. To wszystko.

Przy naszej technice, sam pan rozumie, bo mamy tu takie wynalazki, o jakich wam się jeszcze nie śni – również moje czynności mogłyby być zautomatyzowane, ale widać chodzi tu nie o mnie i może to o narcyzach, o frycach, których pierwszy kontakt z automatami mógłby speszyc, zawsze co innego mieć do czynienia z żywym człowiekiem.

Tu musi pan sam wykazać inicjatywę. Zresztą, owszem, od czasu do czasu będzie pan miał czas wypełniony, ale jak sądzę – tu zmierzył Aleksandra ważnym spojrzeniem – za wiele tego nie będzie. Mam na myśli śledztwo pierwiast-

kowe. Żegnam pana. Właśnie podszedł następny mój klient, a my tu staramy się być uprzejmi, aby nikt się n a n a s n i e s k a r ż y ł. I chociaż pan żadnej funkcji – na razie przynajmniej – nie będzie pełnił, ale radzę panu stosować bardzo pedantycznie tę regułę w tutejszej pańskiej egzystencji.

Na odchodnym zapytałem go nieśmiało, czy i ja mam szansę zostania z czasem urzędnikiem – bo już zapomniałem o swoich strachach, o piekle itd., a przeżyło mnie puste 80-letnie trwanie.

– Nie wiem – odrzekł urzędnik – tego nikt nie może wiedzieć. Wielu jest powołanych, ale mało wybranych. Dlaczego wybór pada na tego czy owego – nie sposób dojść. I nie trzeba tego dochodzić. Ja jestem przekonany, że na skutek szczególnych, może i ukrytych, ale istotnych wartości wybrańca. Są tacy, którzy bluźnią i twierdzą, że wybór nie jest bezstronny: że ci, co czynią wybór – a kto to czyni, tego nikt nie wie, bo wiadomość zostaje zakomunikowana automatycznie – nie są bezstronni, kierują się jakimiś szczególnymi upodobaniami. Na przykład ktoś, kto przypadkowo miał do czynienia z 3 funkcjonariuszami i wszyscy oni byli rudzi, twierdził, że tylko rudzi są wybierani. A ja, jak pan widzi, jestem blondyn jasny. Wspomniałem panu o tym, aby wykazać absurdalność i czczość wszelkich domysłów. Nie snuć domysłów – to jest moja dewiza i jak pan widzi, wyszedłem na niej nienajgorzej.

Wyciągnąłem rękę na pożegnanie, a on najpierw zawahał się, potem uśmiechnął się i wyciągnął swoją. Ale ja nie mogłem uchwycić jego ręki, przegradzała nas niewidoczna moim oczom szyba. Pomyślałem sobie, jak to przykro czują się muchy w analogicznych sytuacjach!

Im więcej o tym myślałem, tym więcej się zamartwiałem. Teraz wypełniały mnie więc owe dwa niepokoje ssące – puste trwanie przez lat 90 – ile to stanowi minut? – i szkło, odgradzające mnie od bliższego kontaktu z ludźmi.

Za życia i przed zachorowaniem – byłem dziwkarzem, tygodnia nie mogłem przeżyć bez kobiety. Byłem w sile wieku – miałem 50 lat bez trzech i pół miesięcy – jakże więc przeżyję tu bez stosunków 90 lat – i w dodatku nie starzejąc się?

– Jeszcze jedno – zawołał za mną, gdy już stałem w drzwiach. – Będzie pan widział wszystko, całą naturę, wszystkie przedmioty martwe, florę i faunę, ale ludzi po wyjściu stąd już nie będzie widział. Tak samo pana nikt nie zobaczy. Natomiast będzie pan słyszał i będzie pan słyszany, ale wszyscy tu mają zmienne głosy, muszę przyznać, że z wyjątkiem nas urzędników, dosyć nieprzyjemnie. Tak że chociażby się pan zetknął przypadkowo – a przypadek taki jest z różnych względów wykluczony – z kimś bliskim lub znajomym, choćby z matką rodzoną, nie pozna pan jej i nie będzie poznany. Przy tym musi pan pamiętać, że pod żadnym pozorem nie wolno panu wymienić własnego nazwiska ani imienia, ani w inny sposób dać się poznać komukolwiek poza urzędnikiem odpowiednio panu zleconym – za to grozi kara najsurowsza, straszna. Zresztą nigdy chyba nie była zastosowana, bo na wszelki wypadek zadbano o to – dzięki pewnemu wynalazkowi, chodzi tu o mózg – że skoro tylko zamierzy pan dać się poznać, nie będzie pan w stanie tego zrobić, bo momentalnie zapomni pan, kim pan jest.

Wat Po śmierci

Gdyby nie było tego zakazu i tego urzędzenia, wszystko wzięłoby w łeb. Bo bliscy ludzie, albo nawet i wrogowie weszliby w znowę i wszystko wzięłoby w łeb, cała Wielka Kartoteka, dla której tu jesteśmy, byłaby wątpliwa, a więc bez wartości. Bo wy tam na ziemi mogliście się zadawać prawdopodobieństwem a tu trzeba uzyskać całą prawdę i całą pewność.

– Na miłość Boską, przecież wszystkie nasze uczynki i wszystkie najtajniejsze myśli były natychmiast znane Istocie Wszechobecnej i Wszechwiedzącej...

– Psst. Nie wymieniaj nadaremno. Ostrzegam cię! Oczywiście, naczelny i uniwersalny mózg elektronowy rejestrował wszystko i oczywiście.

– Więc Bóg jest tylko mózgiem elektronowym?

– Psst... My nie wiemy.

– Ale jeżeli naczelny mózg elektronowy rejestrował wszystko, to po co te ankiety, po co ta kartoteka, po co te 90 lat, bo jak się domyślam, tyle trzeba czasu, aby skompletować kartotekę każdego nieboszczyka.

– Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem. Niczego się nie domyślam. Niczego nie staram się zgadywać. Niczego nie dochodzę. Owszem, są tacy, którzy twierdzą, że jednak kartoteka, chociaż mikroskopowa w stosunku do rejestrów Naczelnego Mózgu Elektronowego, ale coś tam dorzuca do charakterystyki osób, do akt, że chociaż jest nieskończenie mała, ale w specyficzny tylko sobie właściwy sposób rzuca światło, chociaż nieskończenie małe, ale mogące często z gruntu odmienić formuły Nadrzednego Mózgu Elektronowego, który przygotowuje dane dla osądu i NadMózgu pozytronowego. Ale ja tego nie twierdzę. Na odwrót, wydaje mi się to bluźnierstwem.

Po wyjściu z konfesjonau Aleksander natknął się na coś, chociaż nie widział przed sobą żadnej przeszkody, usłyszał natomiast *pardon*, powiedziane miłym pociągającym kobiecym kontraltem, owionął go zapach ulubionych, chociaż niemodnych perfum fiołków parmeńskich, poczuł go w nozdrzach, aż w jelitach zrobiło mu się przyjemnie, ale nie widział.

– A więc to prawda, zaczęło się – rzekł ze smutkiem strasznie zgnębiony. Postanowił jednak zasięgnąć informacji, czy nie ma jakiejś furtki dla zaspokojenia popędu.

Dni, które potem nastąpiły, należały do najcięższych w jego życiu. Aby sobie ulżyć, przywoływał z pamięci wszystkie strachy o życiu zagrobowym. Ale pomijając nawet to, że strachy te nie były bynajmniej rozproszone, bo nie wiadomo było, co nastąpi po owych 90 latach sporządzania kartoteki, czy po tem nie będzie straszniej od wszelkich imaginacyjnych strachów, ale – na razie pustka owych niewypełnionych żadną treścią 90 lat wydawała się gorsza od najgorszych katuszy i chętnie by już zgodził się bodaj na najgorszy gułag, byleby to był epilog, byleby to nie było długie zawieszenie w kompletnej niewiedzy, niepewności i beztreściowej pustce. Piekło czystej formy, piekło formalizmu – westchnął i dał sobie słowo, że on, teoretyk i filozof formalizmu za życia, byłby teraz najzawziętym jego adwersarzem, gdyby mu pozwolono jeszcze raz wrócić do życia.

Z braku wprawy natykał się czasem na ludzi, których nie widział, mówił „przepraszam” i słyszał w odpowiedzi to samo słowo, wypowiedane w różnych językach. Raz jednak ktoś, kogo potrącił, zawołał żywo, o ile żywo mógł brzmieć głos dobywający się jakby z mnóstwa zardzewiałych kółek i kluczy:

– Pan jest Polak? – Ucieszył się, ale już głos rodaka oddalał się, stał się niewyraźny i wreszcie zgasł.

Natomiast zagadnął go kto inny po francusku: – Vous êtes polonais? Usiądźmy – rzekł po chwili – na tej ławce. Miło mi spotkać Polaka i odświeżyć swoją młodość. Bo ja, mój panie, znam dobrze Warszawę, przedtem mieszkałem w Petersburgu, potem w Warszawie w Akwarium, stąd już wróciłem, a raczej wyemigrowałem do Paryża, gdzie pracowałem w Café Bruant na Montmartrze.

Przypomniałem sobie nagle pijaka z Café Bruant i jego opowiadanie o Warszawie.

– Panie ja mówię nawet po polsku. Co prawda już zapomniałem, ale niektóre słowa jeszcze pamiętam – znałem już te.

– Pan był w Café Bruant w 1926?

– Tak, skąd pan wie?

Ale ja mu na to nic nie odpowiedziałem, pomny przestrogi.

– Zaraz, zaraz niech sobie przypomnę. Aha, „żipa”.

Degustował mnie dziadyga, ale cóż, myślę sobie, kto jak kto, ale on może mi odpowiedzieć na gnębiące mnie pytanie.

– Niech mi pan powie, czy jest sposób na to, by pozbyć się w pewnych sytuacjach, no rozumie pan, będąc w towarzystwie damy, tego szkliva. Czy w ogóle możliwe to jest? Bo ja – dodałem, żeby go dobrze usposobić – jestem wielki łasuch na punkcie kobiet, jestem mięsożerne zwierzę, muszę dotykać rękami, wargami, ano żywe, ciepłe ciało!

– Hm – zamyślił się Francuz – ja się tym nie zajmowałem. Bo umarłem w wieku 87 lat i od paru lat przed śmiercią ostygłem. Mnie to nie gnębi. Ale ja pana rozumiem. Otóż przypominam sobie, że kiedyś był taki głośny wypadek, podobno, że ktoś kogoś gwałcił, ale potem ogłoszone było oficjalne zaprzeczenie. Panie, powiesić się można!

– Jak to, więc i tu można popełnić samobójstwo? – Błysnęła mi nawet radośna nadzieja: a więc jest tu jakiś wybór. A co najmniej odwołanie.

– A cóż pan myślał. Niejeden się powiesił. Gdybyśmy mogli widzieć, to niemal na każdym drzewie widzielibyśmy w pewnych okresach po kilku samobójców. Kto wie, czy i pan tego nie robi. Nie jestem pewny, czy nie wszyscy co młodszy nieboszczykowie tego nie robią, niektórzy nawet próbują po kilka razy. Móc można, ale co z tego. Młodzi ludzie nie zastanawiają się, że umiera się tylko raz. Co pewien czas pojawia się maszyna i zdejmuje z drzew niemądrych wisielców. A jak oni wtedy dziękują. Nie byłem w tej sytuacji, ale myślę, że nie jest przyjemnie wisieć z węzłem zaciśniętym na szyi, tygodniami, a nawet i miesiącami. I z tych jeszcze względów bardzo pana przed tym przestrzegam.

Pożegnałem Francuza uprzejmie, chociaż bardzo mi się nie podobał. Zapach parmeńskich fiołków nie wychodził mi z głowy i z powonienia. Domówiłem sobie do tego zapachu i do kontralta ciało, uda... i głowę niedużą, ptasią.

Dopiero trzeciego dnia rano zorientował się, że od chwili śmierci nie tylko nie zmrugał oczu, ale w ogóle nie miał najmniejszego porywu do snu. Sam się domyślił, że tu – w tym mieście zmarłych – sen jest nieznany i stało się to nową jego troską, bo czas wydłużał się o?, zamiast więc 90 lat należało liczyć 120 lat pustego czasu, pustego oczekiwania. Z nostalgią wspominał dni wypełnione strasznymi bólami, które jednak rozpoczynały się po przebudzeniu nadzieją na wieczorną godzinę, kiedy dostanie kołaczek Nembutalu i będzie spał siedem-osiem godzin, siedem-osiem godzin szczęśliwego niebytu. Tego samego dnia trzeciego poczuł po raz pierwszy głód. Nie był to właściwie głód, ale coś, co można by określić jako: „Zjadłbym coś i to bardzo”. I znowu wpadł w panikę, oczekując, że wbrew zapewnieniu urzędnika (on sam przecież mówił, że wszyscy się stają z czasem blagierami) głód ten stanie się coraz dotkliwszy. Zapewnienie *notabene* urzędnika świadczyć może o jego osobistej solidności: w następne bowiem dni (i żeby uprzedzić wypadki również miesiące i lata) stan „zjadłbym coś, i to bardzo” utrzymywał się w jednakowym natężeniu, można by nawet powiedzieć, że złagodniał, bo Aleksander coraz mniej odczuwał jego dokuczliwość.

W kilka dni po śmierci Aleksander postanowił za wszelką cenę jeszcze raz uzyskać widzenie z swoim urzędnikiem i zażądać od niego dalszych wyjaśnień, może nawet wpłynąć na przyspieszenie całej sprawy albo przynajmniej próbować wpłynąć. Chodził od pawilonu do pawilonu i dopiero wtedy stwierdził, że pawilonów tych jest niezliczona ilość i niczym się od siebie nie różnią, a w każdym jest co najmniej kilkadziesiąt drzwi zupełnie identycznych z tymi, które otwały się przed nim pierwszego zaraz dnia, i na każdych drzwiach była wizytówka, jak się okazało, z identyczną skomplikowaną formułą matematyczną. Aleksander usiłował otworzyć jedne i drugie, wciąż powtarzał te próby, ale żadne się nie otwierały, któregoś jednak dnia miał szczęście: drzwi otwały się, a kiedy do nich podszedł, udało mu się wsunąć, jak się domyślił, w ślad za nowicjuszem, który dopiero przybył z życia przedzagrobowego, ale dawno zdążył stwierdzić, że urzędnik jest inny, wyleciał za drzwi, aż siadł na ziemi i w dodatku dostał dotkliwie w zęby. Nie tyle z bólu czy z szoku, ale z uczucia upokorzenia gorzko zapłakał.

Nauczył się już rozpoznawać instynktem bliskość ludzi. Chociaż mogli oni mówić i słyszeli się nawzajem, ale na ogół rozmawiano tu rzadko, może przez ostrożność (nie wiadomo, czy kto nie podsłuchuje i nie dosłucha się nawet w najniewinniejszych wyrazach jakiegoś ukrytego sensu), a może też dlatego, że głosy, jakie dawali wszyscy, z wyjątkiem nowicjuszy przed wypełnieniem ankiety,

były wyjątkowo przykre, tak przykre, że nie sposób było się do nich przyzwyczaić. Niedługo po historii z kopniakiem Aleksander natrafił nieoczekiwanie na skrzynkę z napisem: „skrzynka zażaleń”. Postanowił nie ruszać się z miejsca, aby nie stracić jej z widoku, i nagabywał mijających go przechodniów, prosząc ich o skrawek papieru i o pióro, albo przynajmniej o informację, gdzie by mógł dostać i jedno, i drugie. Ale przeważnie odpowiadali mu, że nie wiedzą. Niektórzy w ogóle powątpiewali, czy można tu coś podobnego znaleźć, jeden nawet wpadł na dowcipny, ale spóźniony pomysł, że właściwie należałoby zmarłego chować z piórem wiecznym i block-notesem, a jeden powiedział, że gdyby było nawet jakieś miejsce, gdzie można się zaopatrzyć w te przedmioty, to i tak niestety nie mógł mu wskazać, a i sam przypuszczalnie – jak wynika z rachunku prawdopodobieństwa, który tu jest naczelnym prawem, nigdy na to nie wpadnie, bo wszystkie aleje, wszystkie ulice, wszystkie pawilony, wszystkie drzewa są tu bliźniaczo podobne, jeżeli nie identyczne (chyba nie, skoro wiadomo, że nie ma dwóch rzeczy identycznych), że nie mają żadnych nazw ani numerów, że zatem nikt nigdy nie może tu się zorientować w przestrzeni, że zresztą i w czasie nie można się zorientować, bo jak może chyba Aleksander zdążyć zauważyć, mimo że jak widać jest nowicjuszem, słońca tu nie ma, ani księżycy, ani zmiany dnia i nocy, ani pór roku, bo zawsze jest jedna pora. Na pytanie Aleksandra, skąd w takim razie wiadomo, że po 90 latach znika się stąd, skąd ten i ów wie, ile czasu spędził w tym mieście, przechodzień odpowiedział, że te liczby i terminy są im oznajmiane przez odpowiednie głośniki i to nieregularnie, nie można przewidzieć kiedy, a zdarzają się nawet wypadki, że ktoś przebywa cały wyznaczony termin, nie wiedząc o tym – ani razu bowiem nic mu nie oznajmiono i znika raptownie. Są osobnicy – dodał pogardliwie – którzy utrzymują, że mają intuicyjne wyczucie czasu, że to jest związane z działalnością nerek, ale primo, nerki tu w ogóle nie działają, bo i po co? – a po drugie, są to zwykłe tutaj blagi i osoby te zmyślają byle jakie daty, a co gorzej nie potrafią nawet konsekwentnie blagować, bo na przykład kiedy: dziś jest piątek, 20 grudnia takiego roku, a po paru tygodniach czy miesiącach cofają czas, zamiast go posunąć. Co prawda istnieje jedno wiarygodne źródło informacji w tym względzie: nowicjusze, ale trzeba mieć wyjątkowe szczęście, żeby na nowicjusza natrafić, to raz, a po drugie, każdy nowicjusz jest przeważnie tak zestrachany, że ze wszystkiego robi tajemnicę i woli jak najmniej opowiadać; po trzecie, czy nowicjuszom można ufać, skoro pochop do blagi ogarnia odruchowo zaraz po wkroczeniu do tego miasta. Zresztą, rzekł, skorzystam z miłego przypadku i zapytam pana, jaki jest dzisiaj dzień?

– Jaki dzień nie wiem dokładnie, bo nie umiałbym powiedzieć, ile ich upłynęło od dnia mojego niefortunnego przybycia. W każdym razie dni tych jest jeszcze niewiele, jak się pan sam domyśla, a umarłem roku...

– Dziękuję – rzekł džentelmen – był to, sądząc z jego francuszczyzny, Anglik – to mnie najzupełniej zadawała – rzekłszy to, oddalił się szybko.

Któregoś dnia zgryziony nieproduktywnością i nudą Aleksander zaczepił przechodnia pytaniem: czy są tu jakieś partie polityczne, czy są jakieś pisma?

– Ja nic nie wiem – odrzekł spłoszony głos i zaraz usłyszał odgłos uciekających nóg.

Niezrażony tym Aleksander zagadnął innego przechodnia, czy toczą się tutaj jakieś dyskusje polityczne, literackie, itp.

– My jesteśmy kompletnie apolityczni – odpowiedział mu ów stanowczym głosem. – A pan czemu o to pyta?

– A może są jakieś gry, zabawy, zawody?

– Jest, owszem, gra – rzekł tamten łagodnie – właśnie mamy przed sobą błonie, gdzie zabawiają się amatorzy diabła. Jest to jedyna zabawa tutaj uprawiana. Ale ponieważ amatorów jest zawsze co najmniej sto razy więcej niż kompletów, więc rzadko się komu udaje dostać, tym bardziej, że kto się już raz dorwie, może grać bez z mordowania latami, póki go co nie odwoła. Rzeczywiście zabawnie było patrzeć, jak wlatywały w górę stożki diabła i opadały na sznurki rozciągnięte między pałeczkami, a rąk nie widać było wcale. Latami tu trzeba stać i czyhać na moment, aż się jakiś komplet zwolni, a potem staczać bitwy z konkurentami. Ja przyznaję, nigdy nie miałem na to cierpliwości.

Z biegiem czasu okazało się, że niektóre z plag nie są tak dokuczliwe, jak z początku sądził. Na przykład niemożność zaspokojenia popędu płciowego. Chodzi o to, że zapach fiołków parmeńskich już dawno wywietrzył z pamięci. Napotykanne kobiety (instykt mówił mu, że to są kobiety, chociaż mógł go mylić – to było niesprawdzalne) wydzielały zapach bardzo nieprzyjemny. Intensywniejszy, niż jak sądził mężczyźni, zapach grobowy, i sam zresztą popęd z biegiem czasu słabł i nie dawał się już we znaki. Tak samo, jak już rzekliśmy, było z apetytem i potrzebą snu. Ale za to pustka przemijającego trwania była bardziej wyrafinowaną torturą niż przypuszczał. Właściwie całe zło w niej się koncentrowało, z niej płynęło.

Nie było tu nic do myślenia, nic do zaobserwowania. Drzewa istotnie wszystkie wydawały się identyczne, tak samo jak ławki, jak pawilony, jak głosy ludzkie – ubóstwo rzeczy, które nie pobudzały myśli chwytliwej. Toteż myśli jego powoli zamierały i pustka stała się dubeltowa, a raczej stała się pustką w kwadracie. Nie doznał żadnej ulgi, kiedy wreszcie doszedł do kompletnej rezygnacji i apatii. Wyszukiwał teraz wolne ławki – ławek była nieskończona ilość – i leżał bez końca, poddając się biernie, z apatią przepływowi bezsensownego trwania.

Któregoś dnia wreszcie nie wiedział, ile nawet lat upłynęło, poczuł, że kroki jego są kierowane. Wkrótce znalazł się przed urzędnikiem – innym, bardziej surowym i małowómnym, zapewne urzędnikiem wyższej rangi. Przypomniawszy so-

bie szamotaninę swojej próby nawiązania łączności, odwołania się, ale urzędnik gestem nakazał mu milczenie i objaśnił go, że ma prawo tylko [stać] i słuchać.

Po wielu, bardzo wielu dniach Aleksander, siedząc kiedyś na ławce, uprzytomnił sobie nagle, że dotąd ani razu nie wspomniął o swojej rodzinie. Opuścił kochającą się na bardzo staroświecki sposób rodzinę: żonę, córkę, i siostry i braci. Żonę ubóstwiał i był przez nią ubóstwiany. Nie mogli żyć bez siebie; kiedyś ktoś ze znajomych, osoba inteligentna rzekła: Aleksander (który był w młodości ateistą) stał się wierzącym ponieważ nie chciał, aby mogli się z Aleksandrą (miała inne imię, bardzo ładne, ale przybrała jego imię, aby jak najściślej z nim się wiązało) rozstać się na zawsze. Byli rzeczywiście jakby stworzeni dla siebie. Dwa lata w niemieckich więzieniach przyplącił ciężko zdrowiem (co przyspieszyło teraz jego śmierć) przede wszystkim dlatego, że dręczył się niepokojem o swoich. W chorobie namawiał żonę, aby nie rozpaczała po jego śmierci – wyobrażał sobie tę straszną rozpacz i było mu jej nieskończenie żal – bo on będzie świadkiem i będzie się tym dręczył i nie zazna spokoju, tak mu potrzebnego po ciężkich cierpieniach i tak upragnionego. A tymczasem tyle dni i tygodni upłynęło, a on ani razu sobie nie przypomniał o nich. Co więcej, teraz to wspomnienie spowodowało tak straszliwe napięcie, zmęczenie mózgowie, że musiał go zaprzestać. W ogóle zdawałoby się, że najnaturalniejszym sposobem wypełniania czasu pustego były wspomnienia – bądź co bądź miał życie ciekawe, wypełnione, i gdyby zabrać się do niego metodą Prousta, którą dobrze podpatrzył, będąc wielkim wielbicielem jego cyklu, to mógłby wypełnić wiele miesięcy, a może lat. Tymczasem wspomnienia wcale nie przychodziły do niego, nie dlatego, aby pamięć była osłabiona, pamięć bowiem miał lepszą niż kiedykolwiek, pamięć prawie absolutną albo zgoła absolutną, w dodatku pamięć od drugiego roku życia ciągnął, ale nie miał woli, nie miał ochoty, by wspominać, miał wręcz niechęć, ostrą niechęć do wspomniania czegokolwiek, męczyło go to niezmiernie, drażniło mu korę mózgową i pobudzało do nudności. Owszem, czasem strzępami i z rzadka wspominały mu się pojedynczo przypadkowo widziane rzeczy, przeważnie bzdurne, niemające z nim żadnego związku. Na przykład, przypomniał sobie wystawę pewnego szczotkarza, widzianą w Anglii. Szczotki były – na pozór przynajmniej – pierwszorzędnej jakości, solidne, dobrze wykończone, każda miała swoją nazwę, uwidocznioną na sobie białą czcionką na czarnym tle. Otóż fabrykant, amator literatury, może w młodości chybiony literat, a może tylko snob albo dobry reklamiarz, albo wszystko to razem, ponadawał szczotkom nazwy z literatury światowej. Tak więc na wystawie leżała solidna, duża szeroka szczotka do froteowania podłóg z nazwą pośrodku: Anna Karenina. Obok niej szczotka do ubrań Hamlet i szczotka do włosów Faust. Fabrykant na swoim pomysłe na pewno się dorobił, ale po co Aleksandrowi było zapychać sobie głowę takimi bzdurami, zamiast myśleć o nieszczęśliwej żonie i osieroconej córce.

Egoistą jestem – zawołał na głos. Obojętnym, zimnym, strasznym egoistą. Nie zauważył, że na ławce ma sąsiada, który dotychczas zachowywał się zdumiewająco cicho.

– Wszyscy tu jesteście egoistami – objaśnił go ów widać rezolutny i stateczny dżentelmen – przede wszystkim przybywamy tu przerażeni (Aleksander zauważył, że nikt tu nie mówi „umieramy”) po długich chorobach lub ze starości, a choroba i starość są doskonałą zaprawą do egoizmu i zobojętnienia. Ale nie o to nawet chodzi. Jesteśmy egoistami, ponieważ wszyscy żyjemy tylko ciągle w oczekiwaniu wyroku na nas, tam.

– Gdzie tam? – zawołał Aleksander, rad z tego słówka, aby się czegoś dowiedzieć od tego przypadkowego sąsiada, który wydał mu się z tonu ekspedagogiem.

– Tam, dokąd przejdziemy po przebyciu tutaj 90 lat. Nie wiedząc nic, co nas tam oczekuje, przypuszczając, że z tamtego tam, które będzie każdemu przydzielone według jego win i zasług, przejdziemy do innego tam, również według win i zasług, rozwiązując w sposób naturalny wszystkie nasze stosunki z bliźnimi, i okaże się, że jesteśmy jak ktoś, kto połączywszy się z jakimś numerem telefonicznym na stałe, nie może już oczywiście łączyć się z innymi numerami. A w „tam”, o które, jak pan pytał, wiadomo panu może z matematyki, że istnieje prawo Archimedesesa, które orzeka, że każda wielkość, jakkolwiek wielką byśmy ją sobie wyobrażali, może być powiększona o dodatkową wielkość – i to jest zasadą transcendencji. Otóż byt transcendentalny polega na tym, że nie ma żadnego ostatecznego tam, że po każdym tam jest inne wyższe „tam” i ono z kolei wyrokuje o naszym losie. Czyż można o czymś innym myśleć, zwłaszcza że nikt na pewno nie wie, co które „tam” liczy za zasługę, a co za „winę” – bardzo być może, że to, co jedna instancja transcendentalna uznaje za zasługę, policzone jest przez następną wyższą za zbrodnię – kto może wiedzieć? Dlatego, ustalwszy, że nasz żywot tam, w życiu, nie może już być odrobiony, zależy już nie od nas, tu przynajmniej rozsądniejsi z nas starają się jak najmniej działać, jak najmniej istnieć, przystosować się do pustego czasu, upodobnić się do jego pustki. Są oczywiście liczni, którzy chcą się zasłużyć tzw. dobrym uczynkiem. Wszyscy przychodzimy tu obarczeni pojęciami, przesądami i nałogami życia i oto miłosierni, albo szczególnie grzeczni, albo szczególnie zapobiegliwi, ale zawsze nie dość rozsądni starają się na wszelki sposób o dobre uczynki. Ale jakież tu mogą być dobre uczynki, niech pan sam powie. Wszyscy są zdrowi, wszyscy na równi bez środków do życia, ale nikomu w ogóle środki do życia nie są tu potrzebne, nikt od nikogo nic mieć nie może, bo to jest zastrzeżone tylko dla wybranych.

– Tak. Można więc mówić tylko o sferze moralnej. Ponieważ wszyscy są tu udręczeni głównie niewiedzą, niepewnością kompletną – co nie ma nic wspólnego w sensie katuszy moralnych z niepewnością czy niewiedzą względną, częściową, więc owi nierozsądni – miłosierni, grzeczni czy sprytni, chcąc ulżyć bliźniemu, zmyślają niestworzone rzeczy. Błaga jest więc jedynym możliwym tu dobrym uczynkiem. Ale primo, nie wiadomo, co zaważy na szali Zasług i Win (o ile taka szala w ogóle istnieje, albo o ile istnieją zasługi i winy): czy ulżenie bliźnie-

mu, czy też blaga, która sama przez się może być poczytana za winę, a szczególnie, że wydaje się klócić z intencją prawodawcy (tak nazwijmy to, co się nazwać nie daje) – o ile taka intencja istnieje, o ile w ogóle istnieje jakaś intencja – żebyśmy tu przebywali w stanie kompletnej niewiedzy. A poza tym, mój drogi – dodał ciepłej rozmówca Aleksandra – kto wie, czy sam dobry uczynek nie bywa policzony – o ile w ogóle coś bywa policzone, bo i tego na dobrą sprawę nie wiemy na pewno – właśnie za Winę, i to za wielką Winę – o ile można mówić o Winach i Zastugach – jeżeli nie przez najbliższą, to przez którąś z dalszych instancji, które może różnią się od siebie jedynie tym, że jedna jest dalszym ciągiem drugiej, słowem są różnymi odcinkami (tfu, co za uprzestrzennienie czasu) są różnymi przebiegami trwania, czy modelem Czasu, o ile czas w ogóle nie jest pojęciem bez pokrycia.

Upłynęło wiele, bardzo wiele czasu, tak wiele, że któregoś razu (nie mówimy już dnia, bo pojęcie to straciło wszelki konkretny sens dla Aleksandra) Aleksander nagle odczuł ogromną radość: jest już okres tych 90 lat, próba się kończy i chociaż nie wiedział, co go po tym oczekuje, czy nie będzie to jakaś jeszcze gorsza rzeczywistość, czy to nie będzie trwanie, czekanie wzbogacone o jakiś nowy straszniejszy wymiar, ale doszedł do tego stanu, że mówi sobie: „Wszystko byle nie to”. Położył się więc znów na ławce i począł z utęsknieniem i nową nadzieją czekać na koniec pobytu w tym „mieście” (przekonał się, że pojęcie miasta jest w zestawieniu do tego świata, do tej rzeczywistości, przestrzennie nieskończonej, chociaż może w istocie zajmującej obszar atomu?) zabawnym eufemizmem. Ale raptem wstał i zaczął chodzić, czując (a może tylko wmawiając w siebie) że kroki jego są kierowane. Po jakimś czasie stanął przed czymś, co przypominało zegar. Stanął na małej platformie, która przypominała wagę zegarową i naraz usłyszał: „Jesteś tu 17 lat, 2 miesiące, 3 dni i koło 9 godzin”.

Nigdy dotąd nie przeżywał takiej rozpacz! A więc nie przekroczył nawet jednej piątej części terminu? Dowłókł się do najbliższego drzewa, zdjął z siebie kitel, zrobił z niego węzeł, założył na szyję, wlażł na ławkę i założył na gałąź. „Uwaga, niech pan sobie znajdzie inną gałąź. Ta już jest zajęta przeze mnie”. Z dołu ktoś powiedział: „Jeszcze jeden!”. Kilka głosów kobiecych roześmiało się. Aleksander, zrezygnowany, włożył z powrotem kitel i odszedł. Przypomniały mu się słowa urzędnika.

– Czy nie ma tu księży? – zapytał, nie wiedząc sam, dlaczego i po co. Jego-mość, który powiedział „Jeszcze jeden?”, rzekł:

– Nie ma Greczyna ani Żydowina, nie ma księży ani pastorów, ani rabinów, ani lamów – wszyscy jesteśmy tu zrównani w obliczu Uniwersalnego Mózgu Elektonowego. A księża, którzy tu są – bo jest ich tu niemało – zachowują się najciszej, najskromniej, nigdy się nie ujawniają, czy dlatego, że są najwięcej zaskoczeni, czy dlatego, że boją się większej kary, czy że boją się tutaj ściągnąć na

siebie mściwe potępienie. Czy może dlatego, że oni są najbardziej zawiedzeni. „Chi lo sa?”.

Należało widać do tutejszego dobrego tonu wypowiadać to zdanie po włosku. Aleksandra raczej cieszyły, bawiły te resztki ziemskiego snobizmu. Sam się zresztą do nich gorliwie stosował.

Niedługo potem spotkał Aleksander przypadkowo jegomościa, który mówił mu o dobrym uczynku. Był to przypadek niesłychanie rzadki, prawie nienotowany, aby ktokolwiek z kimkolwiek spotkał się tu więcej niż raz (co prawda kiedyś zdawało się Aleksandrowi, że spotkał ponownie swoją damę z fiołkami parmeńskimi i z miłym kontraltem – wydzielala już co prawda trupi, właściwy wszystkim zapach, i głos miała ten sam co wszystkie tutejsze kobiety) – było też rzeczą niezwykłą, że spotkawszy się po raz d r u g i, poznali się. W toku rozmowy dżentelmen ów powiedział:

– Właściwie mówiąc, są w nas dwa czekania. Jedno czekanie na koniec terminu i rezolucję tutejszej instancji; drugie wręcz przeciwnie, czekanie na koniec całego porządku, bądź drogą katastrofy i powszechnego unicestwienia za pomocą jakiejś superbomby H., którą ktoś stamtąd z ziemi zrzuci, bądź przez jakąś inną wojskową rewolucyjną odmianę. Czy ewolucyjny rozwój tego całego porządku, czy tych wszystkich porządków. Bo w istocie historia człowieka wygląda z pewnego punktu widzenia tak: jak gdyby człowieka ulokowano w porządku nieludzkim, sprzecznym z jego właściwościami i dążeniami, człowiek w tym nieludzkim porządku usiłuje wyprowadzić lub wygospodarować sobie jakiś ludzki porządek czy porządeczek i oczywiście doznaje krachu. Ale na dobrą sprawę nie należy o tym mówić, jestem mimo doświadczeń nieostrożny, że to mówię, ale niestety należą do natur niepowściągliwych, które od czasu do czasu muszą się przed kimś wygadać, choćby to groziło im najgorszymi konsekwencjami. Gdyby takich istot nie było – z czego by żyli sygofanci? – rzekł z sarkastycznym uśmiechem, patrząc dwuznacznie na Aleksandra, któremu zrobiło się niezmiernie przykro.

– Panie – rzekł – ja jestem uczciwy człowiek. – Zarumienił się i odszedł, chociaż bardzo pragnął słuchać tego dżentelmena, który wydawał mu się albo bardzo mądry, albo bardzo głupi.

Kiedyś uprzytomnił sobie, że nigdy jeszcze nie natknął się na policjanta. Ktoś poinformował: na co policjanci. My reprezentujemy chyba najwyższe stadium rozwoju społeczeństwa. Społeczeństwo, które nie jest już społeczeństwem, ale zbiorem jednostek bez wspólnej więzi, bo jednostek pozbawionych wszelkich potrzeb. Mówiąc ściślej, mających jedną potrzebę: dowiedzenia się czegoś o [sobie], ale ta potrzeba absolutnie nie może być zaspokojona, przynajmniej w tutej-

szym życiu. Ktoś komuś wyrządzi coś złego? W jakim celu? A przede wszystkim w jaki sposób. Ktoś komuś coś zabierze? Co można zabrać? Co my posiadamy? Ktoś zrobi zamach na dobro publiczne? Co tu jest dobrem publicznym? Drzewa? Pawilony? Ławki? To wszystko, co tu można znaleźć. Podpalić? Porąbać? Po co? Bez celu, bez motywacji? Przypuśćmy. Ale jak? Czym? Policji tu nie ma. Ale są kary. Nawet tutaj. Kary różnego stopnia. Ale o tym sza! O tym można się dowiedzieć jedynie na własnej skórze. Może się i panu uda.

„Swoją drogą, dobrze jest uczyć się póki czas języków” – pomyślał Aleksander, który znał francuski, rosyjski, angielski, jidysz, włoski, hiszpański, niemiecki, i cokolwiek – z amatorstwa – arabski, szwedzki i dlatego z łatwością porozumiał się z wieloma ludźmi. Co prawda kilka razy trafiło mu się natknąć na Chińczyków, a raz na Hindusa, który go bardzo zainteresował, mówiono bowiem, że od kilkudziesięciu lat siedzi na jednym miejscu, będąc tam za życia jogą, znosi to łatwo i nawet z przyjemnością i zaklina się, że mógłby, a nawet chciałby przesiedzieć w ten sposób miliardy lat. Aleksander chciał się dowiedzieć od niego sposobów sekretu ćwiczeń jogistycznych, kiedyś nawet interesował się tą kwestią, zakupił sporo książek i broszur, ale zaniedbał je przeczytać i wyrzucił sobie to niedbalstwo. Ale oczywiście nie mógł się z nim porozumieć, joga bowiem znał zaledwie dziesięć słów angielskich: *sorry, lunch, money, good morning, hungry*, a Aleksander ani słowa po bengalsku.

„Ile arcydzieł mogłoby tu powstać!” – ubolewał Aleksander, który kiedyś był właścicielem małego ekskluzywnego wydawnictwa i który uważał, że do powstania arcydzieł literatury potrzebne są dwie rzeczy: dystans od życia i wiele wolnego czasu – obie rzeczy, które tu były w ogromnym nadmiarze. Brakowało tylko dwóch małych bzdurnych rzeczy: papieru i maszyny do pisania. Brakowało zresztą jednego jeszcze drobiazgu: dopływu fosforu. Dlatego mózg męczył się tak szybko i dlatego wszystkie medytacje i rozmowy Aleksandra – zresztą wszystkich – trwały tak krótko i szybko się urywały.

[...]³

³ W tym miejscu w rękopisie, a za nim także w maszynopisie urywa się ciąg narracyjny. Tekst przybiera kształt luźnych notatek, pomysłów zapisanych w skrótovej formie. Na tej podstawie można domyślać się jedynie ogólnego zamysłu tej części opowiadania. Zapis ten ma następujący kształt:

Przesłuchanie: Urzędnik Nr 2, film, dyktafon, wyrzuty sumienia: pamięć – świadomości mojej jest kłeską. Kazirodczy ojciec. Trucicielka-farmaceutka (o mężu). Oddała mu się, byle móc się przed kimś wygadać bezkarnie. Nie dlatego opowiada, że mu się oddała, ale dlatego się oddała, żeby opowiedzieć. Komizm mężczyzn. Kloaka, podglądana. Sekrety. Wyrzuty sumienia. Chociaż mózg elekt. wszystko ma zarejestrowane, ale może to jakoś uszło uwagi... teraz ją obciążylem. I teraz pokażą jej moje zeznanie po śledztwie – co ona o mnie pomyśli. Nie chcę i nie dotknął guzika.

Bo i po co by robili śledztwo i kartoteka. A może robią ot tak pro forma, aby zająć się czymś, aby uczłowiczyć, uracjonalnić, usprawiedliwić pustkę istnienia. Może zbierają tu materiały, notują zeznania... teczki. Wielką kartotekę, a potem nikt nigdy do nich nie

I tak nie wytrzymam tu tego czasu do końca 90 lat. A i potem nie wiadomo, czy mnie stąd wypuszczą. Dobrze, zgadzam się świadczyć! – krzyknął na cały głos – Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie dojdiesz do stanu kompletnej skruchy. I Aleksander zaczął się ćwiczyć w stanach skruchy. Wtedy wstał i wyszedł na wolność, niezatrzymywany przez nikogo. Czekał, aż droga zaprowadzi go do pawilonów z [filmem] i dyktafonem, ale nic nigdzie go nie prowadziło. Męczyło go to bardzo i kiedyś na ławce zwierzył się przygodnemu sąsiadowi.

– Szkoda, że pan wcześniej nie trafił na niemieckiego profesora – rzekł ów. – Nie straciłby pan nosa. Teoria 4 stadiów sprzeczności między myślą (wiarą) słowem, pismem i postępkami.

Już nie liczył na to, że będzie kiedykolwiek zeznawał, gdy razu pewnego znowu znalazł się przed urzędnikiem Nr 2.

– Czekam tu na pana od dawna – rzekł ów surowy i ponury urzędnik.

– Nie moja to wina, nie ja dysponuję swoimi krokami – tłumaczył się Aleksander.

– Nie musi mi pan tego tłumaczyć. Ale wypuszczono pana w stanie obiektywnie niedoskonałej (choć subiektywnie zupełnej) skruchy. Czekałem więc tu, aż pan sam dojrzeje do tego stanu. Coś za długo musiałem czekać. Szczęście dla pana, że nie straciłem jeszcze cierpliwości.

[...]

– Zresztą – dodał profesor – być może, że opór pański był o tyle niepotrzebny: nie wierząc przeciw ościeniowi, pamięta pan, że prawdopodobnie nikt i nic nigdy nie zrobi użytku z tych zeznań.

– I ja też pomyślałem sobie – rzekł Aleksander. – Ale w takim razie po co to wszystko? Po co ta Wielka Kartoteka – i w ogóle to wszystko? Czyżby po to tylko, aby nas jednak czymś zająć, dać nam jakąś treść?

– Nonsens! Któżby o to dbał. Czyż nie pojmuje pan, że ta Wielka Kartoteka, do której nigdy nikt nie zagląda i z której nigdy nikt nie zrobi użytku i to wszystko tutaj jest tylko udoskonaloną idealną metodyką trzymania ludzi pod władzą? Idealną strukturą, która wynika z maksymalnego i idealnego rozwinięcia pojęcia władzy nad ludźmi?

– Ale po co? Komu ta władza jest potrzebna?

– Tego ja już nie wiem – odrzekł profesor-heglista (tak się przedstawił) i już więcej nic nie mówił. Nie znikł jednak, bo od czasu do czasu siąkał nosem.

zajrzy. Może, ale mimo to nie chcę [obciążać] swego sumienia. Jestem porządny człowiek i odmawiam naciśnięcia guzika.

Karcer. Sklepienie, krople, ciemności. Owady i... zwierzęta. Odgryziony nos – szkoda pięknego nosa, chociaż uświadomił sobie, że nie ma tu luster: nikt go nie widzi. Ale może w następnej sferze „tam” jest lustrzane i wszyscy się nawzajem widzą, chociaż nie słyszą. Wszystko jedno, tak czy owak szkoda pięknego kształtnego nosa.

Archiwum

– Czy my jesteśmy jedynym miastem zmarłych, to znaczy jedynym miastem pierwszego próbnego okresu? – Z pewnością nie – odpowiadano mu. – Takich miast jest więcej. Może nawet ilość wielka, choć ograniczona (ponieważ ilość ludzi jest ograniczona, chyba że przyjmujemy hipotezę istnienia istot człękopodobnych, niebieskich) – ale my z nimi nigdy nie mamy najmniejszego kontaktu i żadnych absolutnie wieści.

Do druku podał *Adam Dziadek*

Abstract

Aleksander WAT

After the Death

Aleksander Wat's short story *Po śmierci*, based on a text found by Prof. Adam Dziadek in the Yale University's Beinecke Rare Book and Manuscript Library. The text was retyped by Ola Watowa, the author's wife, most probably in November 1986; attached to the text is a note in her hand, reading: "Unfinished short story *Po śmierci*, retyped from copybook II". As suggested by Jan Zieliński, the work might have been written during Wat's stay in Sopot where he supposedly drafted a scenario of a film on a German philosopher detained in a hotel being both a concentration camp and the beyond. The said scholar presumes that it could have been a record of the second 'parapsychical experience', out of three described as such by the poet, he went through in 1954 while in Sopot.